

Dziesiąta Aleja

MARIO PUZO



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE FORTUNATE PILGRIM

Copyright © Mario Puzo 1964, 1992, 1997
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Bożenna Manicka i Tomasz Manicki 2014

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce i we wnętrzu: Vector pro/Shutterstock (*światło uliczne*);
isaxar/Shutterstock (*fasada budynku*); Stoker-13/Shutterstock (*walizka*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros





Rozdział 1

Larry Angeluzzi jechał dumnie na smolście czarnym koniu głębokim kanionem, który tworzyły frontony czynszowych kamienic. Gromady dzieci, dokazujące na trotuarach u podnóży przeciwległych ścian tego kanionu, przerywały zabawy i gapiły się na niego z niemym podziwem. Larry zatoczył szeroki łuk czerwoną latarnią; spod podkowy trysnęły skry skrzesane o szynę wpuszczoną w bruk Dziesiątej Alei, i za koniem, jeźdźcem oraz latarnią nadjechał powoli długi pociąg towarowy zmierzający z dworca przy Hudson Street na północ.

W 1928 roku ulicami Nowego Jorku, na kierunku północ-południe, odbywał się wahadłowy ruch pociągów, które poprzędzali konni przodownicy Centralnego Zarządu Kolei Żelaznej, ostrzegający przed zbliżającym się składem. Za kilka lat, wraz z powstaniem napowietrznej estakady, miało się to skończyć. Larry Angeluzzi, który nie wiedział jeszcze, że jest jednym z ostatnich miejskich „pociągowych”, że jego profesja przejdzie wkrótce do historii i tylko dociekliwi znajdą o niej krótką wzmiankę w kronikach miasta, jechał napuszony i arogancki niczym kowboj z westernu. Na nogach, zamiast skórzanych kowbojskich butów z cholewami, miał białe trzewiki na gumowych podeszwach, na głowie,

w miejsce sombrera, spiczastą czapkę ozdobioną firmowymi guzikami. Nogawki niebieskich drelichowych spodni spiął w kostkach lśniącymi klamerkami używanymi do jazdy na rowerze.

Jechał stępą przez miejską kamienną pustynię, nad którą zapadł już parny letni wieczór. Pod ścianami kamienic siedziały na drewnianych skrzynkach rozplotkowane kobiety, mężczyźni, wystający na rogach ulic, kopcili cygara De Nobili, dzieci opuszczaly w miarę bezpieczne cementowe wysepki trotuarów i z narażeniem życia czepiały się przejeżdżającego pociągu towarowego. Wszystko to odbywało się w przydymionej żółtej poświacie ulicznych latarni oraz blasku bijącym od gołych, rozpalonych do białości żarówek w witrynach sklepików z łakociami. Na każdym skrzyżowaniu powiew świeżej bryzy od równoległej Dwunastej Alei, biegnącej wybetonowanym nabrzeżem rzeki Hudson, orzeźwiał konia i jeźdźca, chłodził pełną za nimi i pogwizdującą ostrzegawczo czarną zgrzaną lokomotywę.

Na wysokości Dwudziestej Siódmej Ulicy ściana kamienic po prawej urywała się jak nożem uciętą. W tym długim na całą przecnicę wyłomie rozpościerał się park Chelsea gęsto upstrzony ciemnymi sylwetkami podrostków, którzy siedząc na gołej ziemi, podglądali za darmo filmy wyświetlane w letnim kinie przez Hudsonskie Stowarzyszenie Właścicieli Domów Czyszczeniowych. Na odległym gigantycznym białym ekranie Larry Angeluzzi zobaczył monstrualnych rozmiarów jeźdźca na koniu, który cwałował wprost na niego w promieniach sztucznego słońca. Jego własny koń, przerażony widokiem tych olbrzymich widm, zarzucił niepokojnie łbem i już mijali skrzyżowanie z Dwudziestą Ósmą Ulicą, za którym znowu jak spod ziemi wyrastała ściana kamienic.

Larry zbliżał się do domu. Przy Trzydziestej Ulicy, nad Dziesiątą Aleją, była przerzucona kładka dla pieszych; za tą kładką

zaczynały się jego śmieci i kończyła robota. Zsunął czapkę na bakiery i wyprostował się w siodle. Cała wiara zaludniająca trotuary od Trzydziestej do Trzydziestej Pierwszej Ulicy to jego krewni bądź znajomi. Dźgnął piętami wierzchowca.

Przegalopował pod kładką, machając do dzieciarni tłoczącej się przy barierkach po obu stronach. Spiał z fasonem konia, żeby pokazać ludziom z trotuaru po prawej, jaki z niego jeździec, zwrócił tańczące na zadnich nogach zwierzę w lewo i już był na terenie otwartej bocznicy kolejowej – rozległej, tryskającej tu i tam fontanami iskier, stalowej równiny, która ciągnęła się aż po rzekę Hudson.

Tocząca się za nim ogromna lokomotywa sapnęła kłębem białej pary, w którym jak za sprawą magii zniknęła kładka wraz ze znajdującymi się na niej dziećmi. O tym, że nie rozplynęły się w niebycie, świadczyły tylko piski zachwytu wznoszące się stamtąd ku bladym, ledwie widocznym gwiazdom. Pociąg towarowy, wyginając się w łuk, skręcił na bocznice, para się rozwiała, kładka na powrót zmaterializowała, a tabun wilgotnych dzieci zbiegł z niej hurmem po schodach, by rozproszyć się po Alei.

Larry przywiązał konia do słupka przy budce zwrotniczego i usiadł na ławeczce pod ścianą. Po drugiej stronie Alei cał po calu ożywał świat, który znał i kochał.

Oto jasno oświetlona piekarnia na rogu Trzydziestej Ulicy, a przed nią ozdobiony girlandami, oblężony przez dzieci stragan z cytrynowym sorbetem. *Panettiere* osobiście napelnia papierowe kubki z białym wrębkim wiśniowoczerwonym albo bladożółtym śniegiem skrzącym się białymi kryształkami lodu. Nakłada porcje hojną ręką, bo jest do tego stopnia bogaty, że stać go nawet na przepuszczanie pieniędzy na torze wyścigów konnych.

Za piekarnią, patrząc w stronę Trzydziestej Pierwszej Ulicy, sklep spożywczy – na wystawie żółte bele sera provolone

w błyszczących woskowych skórkach i piramidy szynek prosciuto. Dalej zakład fryzjerski – fryzjer o tej porze nie przyjmuje już klientów, ale udostępnia nadal lokal amatorom gry w karty i zżyma się na widok każdej świeżo ostrzyżonej głowy, która nie nosi śladów jego nożyczek. Trotuary zarojone gromadami ruchliwych jak mrówki dzieci; przed wejściem do każdej z kamienic, ledwie widoczne w mroku, siedzą kobiety w czerni, przywodzą na myśl małe bezkształtne wzgórki. Z każdego takiego wzgóрка ulatuje w letnie rozgwieżdżone niebo monotonne gniewne trąkotanie.

Torami przykuśtykał karłowaty zwrotniczy.

– Dzisiaj nie będzie już pociągu, chłopcze – oznajmił.

Larry bez słowa odwiązał wierzchowca, dosiadł go i zawrócił z fantazją.

Kiedy koń stawał dęba, Larry’emu wydało się, że rząd kamienic – zachodnia ściana wielkiego miasta – wyrzusza się niczym wydymany wiatrem żagiel i wybiega mu na spotkanie. W otwartym oknie swojego mieszkania na ostatnim piętrze czynszówki, którą miał dokładnie naprzeciw siebie, wypatrzył ciemną sylwetkę. To mógł być tylko jego młodszy brat Vincent. Larry pomachał mu, ale odpowiedzi doczekał się dopiero, kiedy pomachał po raz wtóry. Światło paliło się tylko w kilku oknach. Prawie wszyscy lokatorzy, jak w każdy letni wieczór, wylegli przed kamienicę i teraz mu się przyglądali. Klepnął konia dłonią w szyję i pogalopował brukowaną Dziesiątą Aleją do stajni przy Trzydziestej Piątej Ulicy.

Kilka godzin wcześniej, o zmierzchu, kiedy Larry Angeluzzi siodłał dopiero swojego konia w St. John’s Park, jego matka, jak również matka Octavii i Vincenza Angeluzzich, Lucia Santa Angeluzzi-Corbo, wdowa po Anthonym Angeluzzim, obecnie żona Franka Corbo i matka jego trojga dzieci – Gina, Salvatore i Aileen – przygotowywała się do rejterady z dusznego pustego

mieszkania. Letnie wieczory wolała spędzać na powietrzu, plotkując z gadatliwymi sąsiadkami, a przy okazji dając baczenie na dzieci bawiące się na ciemnych ulicach miasta.

Lucia Santa była tego dnia w dobrym nastroju, bo nie ma to jak lato – dzieci nie przeziębają się, nie gorączkują, odpada problem ciepłych kurtek, rękawiczek i butów na zimowe śniegi, nie trzeba sobie łamać głowy, skąd wykrobać dodatkowe pieniądze na przybory szkolne. Dzieci pałaszowały w pośpiechu kolację, by czym prędzej czmychnąć z dusznego mieszkania na tętniące życiem ulice; szkoda im było czasu na wieczorne kłótnie. W domu łatwiej było utrzymać porządek, bo zawsze świecił pustkami. Lucia Santa najbardziej rada była z tego, że latem wieczory miała tylko dla siebie; ulica stanowiła miejsce spotkań, a lato porę, kiedy sąsiedzi się zaprzyjaźniają. Tak więc włożyła czystą czarną sukienkę, zebrała w kok gęste kruczoczarne włosy, wzięła kuchenny stołek i zeszła z czwartego piętra, by posiedzieć na Alei.

*

Trotuar przed każdą kamienicą spełniał rolę wiejskiego ryneczku; co wieczór na drewnianych skrzynkach i stołkach przesiadywała tam grupka kobiet w czerni, które raczyły się nie tylko plotkami. Wspominały również dawne czasy, komentowały obyczaje i stosunki społeczne, za punkt odniesienia przyjmując zawsze wzorce wyniesione z jakiejś górskiej wioski na południu Włoch, z której uciekły przed wielu laty. I jak ma się rzeczywistość do tego, co sobie wyobrażały? Co by powiedzieli ich surowi ojcowie, gdyby przeniesieni tu jakimś cudem zobaczyli, z jakimi trudnościami muszą się borykać na co dzień? Albo ich matki o zręcznych, pracowanych dłoniach? Ile by było krzyku i pomstowania, gdyby jako

córki, tam, w starym kraju, wyprawiały to, co tutaj te amerykańskie dziewczuszyska? Ma się rozumieć, jeśli przysłoby im w ogóle do głowy, że można się tak zachowywać.

Kobiety mówiły o swoich dzieciach jak o obcych. To był ich ulubiony temat: zepsucie szerzące się wśród niewiniątek w nowym kraju. Weźmy taką Felicię, która mieszka za rogiem, przy Trzydziestej Pierwszej Ulicy. Co z niej za córka, skoro nie przerwała miesiąca miodowego, kiedy matka powiadomiła ją o niedomaganiu babki? Istna lafirynda. Nie, nie, wcale nie przesadzają z tym określeniem. Sama matka Felicii tak ją nazwała. Albo weźmy tego synalka, pozał się Boże, któremu tak pilno było do ślubu, że nie mógł odczekać roku, jak chciał ojciec? Ach, cóż za brak szacunku. *Figlio disgraziato*. We Włoszech nie usłoby mu to płazem. Ojciec zatłukłby takiego bezczelnego syna; tak, zatłukł. A ta córka? We Włoszech – zarzekała się matka Felicii drżącym wciąż ze wzburzenia głosem, chociaż od tamtego incydentu upłynęły już trzy lata, babka wydobrzała i dalej nazywała wnuki światłem swojego życia – ooo, we Włoszech ona wywłokłaby tę lafiryndę z małżeńskiego łóża i zaciągnęła za kudły do leżącej w szpitalu babki. Ach, Włochy, Włochy; jak ten świat się zmienił, i to na gorsze. Co je opętało, że wyjechały z takiego kraju? Kraju, gdzie ojcowie mają posłuch, a matki są traktowane przez dzieci z szacunkiem.

Każda po kolei opowiadała własną historię o krnąbrności i zuchwalstwie, o swoim heroizmie, anielskiej cierpliwości, o dzieciach, istnych diablętach, zawracanych ze złej drogi tradycyjnymi włoskimi metodami wychowawczymi: paskiem do ostrzenia brzytwy albo *tackerilem*. Każda kobieta kończyła opowieść tym samym stwierdzeniem. *Mannaggia America!* – Przekłeta Ameryka. Tego letniego wieczoru z ich głosów przebiegała jednak nadzieja, chęć do

życia, której próżno by się doszukiwać w ojczyźnie. Tutaj, teraz, w banku leżą pieniądze, dzieci potrafią pisać i czytać, wnuki, jeśli wszystko dobrze się ułoży, zostaną kiedyś profesorami. Bez wielkiego przekonania mówiły o dochowywaniu wierności tradycji, wszak same wdeptywały ją w ziemię.

Bo prawda była taka: te wieśniaczki z biednych gospodarstw we włoskich górach, urodzone w tych samych izbach, w których umierali ich ojcowie i dziadkowie, kochały rozbrzmiewającą szczykiem stali i stukotem kamieni atmosferę wielkiego miasta, w którym teraz mieszkały, łomot wagonów przetaczanych na bocznicę kolejowej po drugiej stronie ulicy, lunę światła nad Palisades na drugim brzegu Hudsonu. Dzieciństwo upłynęło im w izolacji, na ziemi tak jałowej, że rodziny, by przeżyć, rozpraszały się po górskich stokach.

Wyzwoliła je odwaga. Były pionierkami, choć ich noga nigdy nie powstała na amerykańskiej prerii. Przybywały do jeszcze bardziej przytłaczającej głuszy, gdzie tubylcy mówili niezrozumiałym językiem. Tu, w tym obcym kraju, ich dzieci stawały się członkami innej rasy. Tę cenę musiały płacić.

Lucia Santa nie zabierała dzisiaj głosu, słuchała tylko. Czekwała na swoją przyjaciółkę i sojuszniczkę, *Zię Louche*. Odpoczywała, zbierając siły na wesołe przekomarzania, które potrwają wiele godzin. Wieczór był wczesny, a do mieszkań nie rozejdą się przed północą. Za gorąco. Splotła dłonie na podolku i wystawiła twarz na powiewy lekkiego wietrzyku od Dwunastej Alei.

Niewysoka, zgrabna, ładna, zdrowa na ciele i umyśle Lucia Santa była kobietą odważną. Nie lękała się życia ani zagrożeń, które ze sobą niesie, ale unikała zbędnego ryzyka, kierowała się rozsądkiem. Była silna, doświadczona, nieufna i czujna, dobrze predysponowana

do prowadzenia licznej rodziny ku dorosłości i wolności. Jej jedyną słabą stroną był brak wrodzonego sprytu i przebiegłości, które to cechy bardziej przydają się ludziom niż cnota.

Rodzinny dom we Włoszech opuściła ponad dwadzieścia lat temu jako zaledwie siedemnastoletnia dziewczyna. Przebyła trzy tysiące mil ciemnego oceanu, by znaleźć się na obcej ziemi, wśród obcych, i rozpocząć nowe życie z mężczyzną, którego, co prawda, pamiętała z dzieciństwa, ale jak przez mgłę.

Opowiadała często tę historię, kręcąc głową nad swoją lekko-myślnością, a mimo to z dumą.

Pewnego razu ojciec ze zboląłą miną oznajmił jej, swojej ulubionej córce, że nie ma co liczyć na ślubną wyprawę. Gospodarstwo podupada. Mają długi. Wszystko wskazuje na to, że idzie ku gorszemu. Nic dodać, nic ująć. Pozostaje tylko nadzieja, że trafi się kandydat na męża, który z miłości do niej straci głowę.

To był cios. W jednej chwili straciła cały szacunek dla ojca, dla domu rodzinnego, dla ojczystego kraju. Pannę młodą bez wyprawy wytykano palcami na równi z tą, która po nocy poślubnej wstaje z małżeńskiego łóża, nie pozostawiając na pościeli krwawej plamy. Jeszcze gorzej; ta ostatnia mogła się przynajmniej uciec do fortelu i tak wybrać datę zamążpójścia, żeby noc poślubna przypadła w trakcie okresu. Na to mężczyźni skłonni byli nawet przymknąć oko. Ale jaki mężczyzna weźmie sobie za żonę kobietę naznaczoną piętnem dziedzicznej biedy?

Tylko biedak wie, jaki to wstyd być biednym, wstyd po sto-kroć gorszy niż być największym grzesznikiem. Bo grzesznik, okazując skruchę, w jakimś stopniu zmywa z siebie hańbę. Biedni są w sytuacji bez wyjścia; otoczenie, *padrones*, los i czas nie mają dla nich zmiłowania. Pozostają żebrakami zdanymi na czyjąś łaskę i niełaskę. Dla biednych, którzy od pokoleń żyją w nędzy, stwier-

dzenie, że praca uszlachetnia to pusty frazes. Im bardziej są pracownicy i uczniwi, tym dotkliwiej odczuwają upokorzenie i wstyd.

Lucia Santa, choć miotana młodzieńczym buntem, była bezsilna. Aż tu nagle list z Ameryki; chłopak z sąsiedniego gospodarstwa, towarzysz zabaw z dzieciństwa, pisze, żeby przyjechała do niego do nowej ziemi. Obaj ojcowie wyrazili zgodę. Lucia Santa próbowała sobie przypomnieć jego twarz.

I tak pewnego słonecznego włoskiego dnia Lucia Santa oraz jeszcze dwie panny na wydaniu z okolicy udały się w asyście szlochających rodziców, ciotek i siostr do magistratu, a następnie do kościoła. Potem wszystkie trzy, trzy poślubione na odległość panny młode, w oczach prawa już Amerykanki, wsiadły na pokład statku płynącego z Neapolu do Nowego Jorku.

*

Lucia Santa jak we śnie schodziła ze statku na ziemię ze stali i betonu. Jeszcze tego samego wieczoru poszła do łóżka z obcym, który był jej legalnym mężem. Urodziła temu obcemu dwoje dzieci i chodziła w ciąży z trzecim, kiedy mąż zginął w jednym z nieszczęśliwych wypadków, w które obfitowała budowa nowego kontynentu. Przyjęła to z pokorą. Owszem, lamentowała, ale nie w pełnym tego słowa znaczeniu; ona błagała tylko los o przychylność.

Potem, już jako ciężarna wdowa, wciąż jeszcze młoda, niemająca nikogo, w kim mogłaby znaleźć oparcie, ani na chwilę nie dopuszczała do siebie czarnych myśli, nie poddawała się. Miała w sobie tę nie tak rzadko spotykaną u kobiet siłę ducha, która pozwalała jej stawiać dzielnie czoło przeciwnościom losu. Ale nie była przecież z kamienia. Los nie zdołał zrobić z niej zgorzkniałej

matrony, udało się to jednak przyjaciółkom i sąsiadkom, tym samym, z którymi siedziała teraz w letni wieczór przed kamienicą.

Ach, te młode żony, te młode matki, te wszystkie inne młode Włoszki w obcym kraju. Jakież były serdeczne, jakie uczynne. Jak to się odwiedzały, jak biegały w górę i na dół po schodach, od mieszkania do mieszkania. „*Cara Lucia Santa*, skosztuj tego, skosztuj tamtego...” – a to talerzyk nowego farszu, a to wielkanocna babka z kielkami pszenicy i tartym serem, glazurowana jajkiem, to znowu ravioli na dzień świętego patrona rodziny, ze specjalnie przyrządzonym mięsem i sosem pomidorowym. To krygowanie się, te komplementy i filizanki kawy, i zwierzenia, i wpraszenie się na matkę chrzestną nienarodzonego jeszcze dziecka. Po tragedii, po wysłuchaniu najszczerzych wyrazów współczucia i kondolencji, Lucii Sancio objawiło się prawdziwe oblicze świata.

Powitania stały się chłodne, skończyły się sąsiedzkie odwiedziny, żadna już się nie napraszała na matkę chrzestną. Bo i która chciałaby zadawać się z młodą, jak najbardziej wartą grzechu wdową? Mężowie są słabi, zaczną się prośby o wsparcie. W czynszówkach wszyscy się znali; młode kobiety bez mężczyzny stanowiły zagrożenie. Poratuj taką paroma dolarami, a przyssie się jak pijawka i już się nie odczepisz. Nie były bezwzględne, powodowała nimi tylko właściwa biednym przezorność, którą tak łatwo wyszydząć, jeśli samemu nie zakosztowało się lęku przed nędzą.

Wytrwała przy niej tylko jedna przyjaciółka – *Zia Louche*, starsza, bezdzietna wdowa. Pomagała jak mogła. Kiedy urodził się osierocony przez ojca Vincenzo, trzymała go do chrztu, a kiedy chrześniak przystępował do pierwszej komunii, kupiła mu piękny złoty zegarek, żeby Lucia Santa mogła chodzić z wysoko uniesioną głową! Taki wspaniały prezent był świadectwem szacunku i wiary. *Zia Louche* jedna jedyna okazała jej serce i kiedy minął

okres żałoby, Lucia Santa spojrzała na świat nowym, mądrzejszym okiem.

Czas zaleczył rany i teraz wszystkie na powrót były najlepszymi przyjaciółkami. Może – kto wie? – młoda wdowa była zbyt surowa w swych osądach, bo te same sąsiadki, fakt, że we własnym interesie, ale pomogły jej znaleźć drugiego męża, żeby miała kogoś, kto wykarmi i odzieje jej dzieci. Ślub odbył się w kościele. Te same sąsiadki wyprawiły jej wspaniałą ucztę weselną. Lucia Santa wyciągnęła jednak wnioski z lekcji, którą zgotowało jej życie, i nie miała już złudzeń.

*

Teraz, w ten parny letni wieczór, z odchowanymi już dziećmi z pierwszego małżeństwa i podrośniętymi, nie licząc małej Leny, z drugiego, z pewną sumką na koncie, po dwudziestu latach poświęceń, wyrzeczeń i odcierpieniu swojego, Lucia Santa Angeluzzi-Corbo stała na owym małym wzgórku stabilizacji, na który wdrapują się biedni, wdrapują z takim mozołem, że na tym poprzestają, uznając, że byt mają w zasadzie zapewniony i że to szczyt ich możliwości. Osiągnęła już w życiu to, co mogła osiągnąć; pora odpocząć.

*

Ale dość o tym. Oto nadchodzi *Zia Louche*, teraz będą w komplecie. Lucia Santa skupiła uwagę na toczącej się rozmowie, gotując się do włączenia w wir plotek. W tym momencie dostrzegła Octavię, która wyszła zza rogu Trzydziestej Ulicy i mijała właśnie *panettiere* z jego oszkloną gablotą z pizzami i puszkami cytrynowego sorbetu. Na moment postać córki przesłonił Lucii Sancier widok wypełnionej

po brzegi drewnianej barylki, do której *Panettiere* wrzucał czerwone miedzaki i lśniące srebrne rybki dziesięcio- i dwudziestopięciocentówek. Na myśl, że sama nigdy nie wejdzie w posiadanie takiego majątku, jaki udało się zbić temu obleśnemu piekarzowi, pociemniało jej w oczach z gniewu. Na straży owej drewnianej barylki pełnej miedzianych i srebrnych monet stała żona *Panettiere* – stary, wąsaty, niezdolny już do rodzenia dzieci babsztyl o mętnych, przysłoniętych do połowy ciężkimi powiekami oczach smoczycy, w których odbijały się gasnące zorze letniego wieczoru.

Lucia Santa poczuła, jak Octavia przysiadła się do niej na stolek; zetknęły się biodrami i udami. Zirytowana tym, jak zawsze, nie przesunęła się jednak, żeby nie urazić córki. Zerknęła na nią tylko spod oka. Jaka ładna, po amerykańsku ubrana... Posłała swojej starej kumie, *Zii Louche*, porozumiewawczy uśmiezek, w którym spod matczynej dumy przebierała drwina. Milcząca skromnie, ale czujna Octavia przechwyciła ten uśmiech, zrozumiała jego wymowę i nie po raz pierwszy uświadomiła sobie, że matka ją zadziwia.

Zupełnie jakby wiedziała, że ona, Octavia, ani myśli podzielić losu tych kobiet! Z naiwną, łatwą do rozszyfrowania dziewczęcą ostentacją nosiła tę sinoniebieską garsonkę, która ukrywa biust i maskuje krągłość bioder. I białe rękawiczki, jak jej nauczycielka ze szkoły średniej. Z całym rozmysłem nie wyskubywała sobie gęstych czarnych brwi. W skazanej z góry na niepowodzenie próbie umniejszenia swojej atrakcyjności zaciskała mocno pełne czerwone usta, popatrywała ponuro, a wszystko po to, żeby ukryć przed światem tę zgubną zmysłowość, która pograżyła kobiety z jej otoczenia. Zdaniem Octavii dopuszczenie do głosu owej mrocznej żądz, która w niej drzemie, przekreśli wszelkie nadzieje na inne lepsze życie. Było jej ogromnie żal tych kobiet, które popadły

w wyzute z marzeń niewolnictwo, rodząc dzieci i zadowolając się nieznanymi jej rozkoszami małżeńskiego łóża.

Nie, nie skończy jak one. Siedziała ze spuszczoną głową i słuchała; udawała jak ten Judasz wierną, a knuła zdradę i ucieczkę.

Teraz, otoczona samymi kobietami, zdecydowała się wreszcie zdjąć żakiet; nie zdawała sobie nawet sprawy, jak ponętnie wygląda w samej białej bluzce z wąskim krawatem w czerwone prążki. Żadne maskujące zabiegi nie były w stanie ukryć pełnych krągłych piersi. Zmysłowa twarz, burza granatowoczarnych włosów zwijających się w niesforne pukle i loki, wielkie błyszczące oczy, wszystko to zdawało się pokpiwać z surowości stroju. Bardziej prowokacyjnie niż w swojej wystudiowanej nieprzystępności nie mogłaby już wyglądać.

Lucia Santa odebrała od córki żakiet i przewiesiła go sobie przez rękę. Był to odruch matczynej miłości, wyrażający zaborczość i dominację, ale przede wszystkim gest pojednania, bo pokłóciły się przed paroma godzinami.

Octavia oznajmiła, że chce pójść do szkoły wieczorowej i kształcić się na nauczycielkę. Lucia Santa stanęła okoniem. Co to, to nie; pracując i chodząc do szkoły, zapadnie na zdrowiu. „Po co ci to? No, po co?” – spytała. „Taka z ciebie dobra krawcowa, nieźle zarabiasz”. Sprzeciwiała się, bo była przesądna. Te same co zawsze argumenty. Los jest przewrotny, nie sprzyja tym, którzy chcą coś zmienić w swoim życiu. Doświadcza ich. Octavia jest za młoda, by to rozumieć.

Octavia, niewiele myśląc, wyrzuciła z siebie wyzywająco: „Ja chcę być szczęśliwa”. Na to matka – ta sama matka, która zawsze przymykała oko na dziwactwa córki, na jej zamiłowanie do czytania książek, na jej szyte niby na miarę, a powabne jak binokle stroje – wpadła w szal. „Chcesz być szczęśliwa” – wycedziła, naśladując

perfekcyjny angielski próżnej dziewczyny, którym posługiwała się Octavia. A potem, już po włosku i ze śmiertelną powagą, dodała: „Dziękuj lepiej Bogu, że żyjesz”.

*

Octavia przyjęła bez słowa pokojowy gest matki i siedziała obok niej w skromnej pozie, ze złożonymi na podolku dłońmi. Wspominała klótnię i zachodziła w głowę, jak to jest, że matka, przedrzeżniając swoje dzieci, mówi po angielsku nienagannie. Kątem oka dostrzegła Guida, smagłego syna *Panettiere*, który skradał się niepewnie poprzez ciepły letni wieczór, zwabiony jasną plamą jej białej bluzki. W silnej smagłej dłoni trzymał wysoki papierowy kubek owocowego sorbetu, cytrynowego czy może pomarańczowego. Wręczył go jej, kłaniając się niemal w pas, wymamrotał coś niewyraźnie, chyba „Nie poplam sobie bluzeczki”, i wrócił biegiem za stragan, pomagać ojcu. Octavia uśmiechnęła się, liznęła z grzeczności kilka razy i oddała resztę matce, która przyssała się do kubka łapczywie jak dziecko, bo przepadała za sorbetem. Monotonny pomruk głosów gwarzących kobiet nie ustawał.

Zza rogu Trzydziestej Pierwszej Ulicy skręcił w Aleję ojczym, pchając przed sobą dziecięcy wózek. Octavia obserwowała go, jak idzie spacerowym krokiem od Trzydziestej Pierwszej do Trzydziestej Ulicy i tam zawraca. I tak jak wcześniej zaintrygowała ją ironia w uśmiechu matki, tak teraz w zmieszanie wprowadziła czułość ojczyma. Znała go nie od dziś jako człowieka okrutnego, nikczemnego i złego i szczerze nienawidziła. Nieraz była świadkiem, jak okładał pięściami matkę, jak tyranizował pasierbów. Pamiętała jak przez mgłę z dzieciństwa, że zaczął się zalecać do matki wkrótce po śmierci ojca, o wiele wcześniej, niż wypadało.

Zapagnęła podejść do wózka i spojrzeć na śpiące maleństwo, swoją małą siostrzyczkę, którą kochała z całego serca, chociaż było to dziecko ojczyrna. Musiałaby jednak odezwać się do tego mężczyzny, spojrzeć w te jego zimne niebieskie oczy, na tę prostacką szczurzą gębę, a na to nie miała ochoty. Wiedziała, że ojczym nienawidzi jej tak samo jak ona jego, i że oboje czują przed sobą respekt. Nigdy nie ważył się jej uderzyć, tak jak czasami bił swojego pasierba Vinniego. Nie miałyby nic przeciwko razem wymierzanyrn bratu, gdyby były naprawdę ojcowskie. Ale on przynosił prezenty Ginowi, Salowi i Aileen, a Vincentowi, choć był jeszcze dzieckiem, nigdy. Nienawidziła go, bo ani razu nie zabrał Vincenta na spacer albo do fryzjera, tak jak zwykł postępować ze swymi naturalnymi dziećmi. Bała się go, bo był dziwny – zły i tajemniczy nieznajomy z powieści, niebieskooki Włoch o diabolicznej twarzy. Wiedziała, że w istocie jest prostym niepiśmiennym wieśniakiem, ubogim, pogardzanym imigrantem, który nadrabia tylko miną. Któregoś dnia widziała go w metrze udającego, że czyta gazetę. Opowiedziała o tym matce, chichocząc pogardliwie. Matka uśmiechnęła się tylko dziwnie i nic nie powiedziała.

*

Ale oto jedna z kobiet w czerni zaczyna opowiadać o pewnej nic niewartej młodej Włoszce (urodzonej, a jakże, w Ameryce). Octavia nadstawiła ucha.

– Tak, tak – ciągnęła kobieta. – Byli miesiąc po ślubie, skończył im się właśnie miesiąc miodowy. Och, jak ona go kochała. Siadała mu na kolanach w domu jego matki. Trzymała go za rękę, o tak... – dwie guzłowate dłonie o usianych kurzajkami palcach złączyły się w miłosnym, obscenicznym splocie na podołku

opowiadającej – ...kiedy gdzieś szli. Miesiąc po ślubie wybrali się na tańce. Do kościoła, wyobraźcie sobie. Jacy głupi są ci młodzi księża, co to nawet nie umieją po włosku! I męża Bóg pokarał za to, że tam poszedł. Padł trupem. Serce, zawsze był chorowity. Matka wciąż go upominała, żeby na siebie uważał, martwiła się o niego. I co się dzieje? Powiadają, że młoda żonka tańczyła akurat z innym. Myślicie, że podbiegła do leżącego na ziemi ukochanego? A gdzież tam! „Nie, nie, nie mogę” – piszcziała tylko. Żeby kobieta bała się śmierci jak dziecko! Jej luby leży w kałuży własnych sików, ale ona już go nie kocha. „Nie, nie chcę na to patrzeć” – krzyczy.

– Ho, ho! – odezwała się *Zia* Louche, przybierając dwuznaczny ton. – Założę się, że patrzyła na To chętnie, kiedy To było żywe. – Wszystkie gruchnęły śmiechem i ten chóralny rechot poniosł się po Alei, ściągając zazdrosne spojrzenia kobiet z innych grupiek. Octavia była zgorszona, zła, że nawet jej matka uśmiecha się od ucha do ucha.

Pora na poważniejsze tematy. Lucia Santa i *Zia* Louche utworzyły wspólny front w sporze z resztą grupy o jakiś historyczny epizod, o szczegóły skandalu, który wybuchł przed dwudziestoma laty za morzem, we Włoszech. Octavia dobrze się bawiła, obserwując, jak matka oddaje inicjatywę *Zii* Louche i jak ta bierze na siebie cały ciężar bitwy, a przy tym obie odnoszą się do siebie jak księżna do księżnej. „*E vero, Comare?*” – zwracała się z szacunkiem matka do *Zii* Louche. „*Si, signora*” – odpowiadała z godnością *Zia* Louche, zupełnie jakby nie łączyła ich wieloletnia zażyłość. Octavia wiedziała, że za wzajemnym stosunkiem tych dwóch kobiet kryje się wdzięczność matki za bezcenne wsparcie w godzinie największej potrzeby.

Spór toczył się o tak nieistotne niuanse, że szybko znudził Octavię. Wstała, podeszła do wózka i nie witając się z ojczymem, spojrzała z góry na siostrzyczkę. Patrzyła na dziecko z tklivością,

której nie odczuwała nigdy w stosunku do Vincenta. Potem ruszyła w stronę Trzydziestej Pierwszej Ulicy, żeby rzucić okiem na Gina. Bawił się z kolegami, mały Sal siedział na krawężniku. Wzięła Sala za rączkę i zaprowadziła do matki. Nie widziała nigdzie Vinniego. Zadarła głowę. Siedział nieruchomo na parapecie ciemnego okna mieszkania, zapatrzonej w przestrzeń.

Frank Corbo popatrywał ponuro na pasierbicę pochylającą się nad jego córką. Odmienny z tymi niebieskimi oczami, wykpiwany (który Włoch spacerowałby z wózkiem w letni wieczór?), niepiśmienny, ociężały umysłowo, widział piękno pograżonego w ciemnościach kamiennego miasta i czuł nienawiść pasierbicy, ale jej nie odwzajemniał. Pospolita twarz dobrze skrywała niemą, zżerającą go od środka udrękę. Całe jego życie było snem o pięknie, które czuł, a którego nie potrafił uchwycić, o opacznie pojętej miłości, którą mylił z okrucieństwem. Niezmierzone skarby przesuwwały mu się przed oczyma jak cienie, nieosiągalne, świat był przed nim zamknięty. Gdyby miał pewność, że przyniesie mu to ulgę, porzuciłby rodzinę i wyjechał z miasta choćby dziś. Nad ranem, kiedy jeszcze ciemno, zatrzymałby pierwszą lepszą farmerską ciężarówkę i zniknął bez słowa, bez awantur, bez rękoczynów. Nająłby się do pracy gdzieś na brązowo-zielonych w lecie polach, czerpał z miłości spokój, odyskiwał siły.

Cierpiał. Cierpiał jak głuchoniemy, który nie może zaśpiewać, kiedy widzi piękno, który nie może wykrzyczeć bólu. Rozsadzała go miłość, a nie potrafił jej wyrazić. Za wiele osób w sąsiednich pokojach, za wielu przechodniów na ulicy. Dręczyły go koszmarny sny. Wokół czarno, otaczają go żona i dzieci, i każde wyciąga sobie z czoła sztylet. Budził się z krzykiem.

Robiło się późno, coraz później; dzieci powinny leżeć już w łóżkach, ale było wciąż za gorąco. Frank Corbo wodził wzrokiem za

swoim synem Ginem. Chłopiec biegał jak opętany tam i z powrotem, pochłonięty jakąś zabawą w poklepywanie się, której zasad on nie był w stanie pojąć, tak jak nie rozumiał amerykańskiej mowy syna, treści książek i gazet, barw nocnego nieba, piękna tego letniego wieczoru ani wszystkich uroków świata, od których czuł się odcięty i co przepełniało go bólem. Świat był dlań jedną wielką tajemnicą. Straszliwe niebezpieczeństwa, przed którymi inni potrafili chronić swe dzieci, zetrą jego i tych, których kocha, na proch. A jego potomstwo będzie uczyło swoje dzieci nienawiści do niego.

Wciąż jednak był ojcem, sumiennie pchał więc przed sobą wózek tam i z powrotem po Dziesiątej Alei, nie przypuszczając nawet, że wyzwolenie jest tuż-tuż. Że gdzieś tam, głęboko w jego krwi, w maciupkich, niezbadanych komórkach mózgu kluje się nowy świat. W beczasowości umysłu powoli, dzień po dniu, jedno bolesne doznanie po drugim, z każdym nieuchwyconym pięknem, mury świata, którego tak się bał, kruszyły się, i za rok na ich miejsce wyrośnie nowy fantastyczny świat, w którym on będzie panem i władcą, jego wrogowie zostaną pogiębieni i zastraszeni, w którym straci na zawsze swoich ukochanych, ale nie odczuje tej straty ani nie będzie nad nią bolał. Świat z takim ładunkiem chaotycznego bólu, że zaleje go ekstazą, tajemniczością, i ból minie. Będzie wolny.

Ale to stanie się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakby samo z siebie, bez uprzedzenia. Dzisiaj, tego wieczoru, szan-sy na ukojenie upatrywał w spędzeniu jednego lata na wsi, przy pracach polowych, tak jak niegdyś, w dzieciństwie, we Włoszech.

*

Dla dzieci świat ma szczególną barwę, dźwięki też są dla nich magiczne. Gino Corbo, dopingowany piskami dziewczynek, miotał

się pośród warczących motorów i kręgów mdłego blasku rzucanego przez uliczne latarnie, wkładając w zabawę tyle zaangażowania, że aż rozboleła go głowa. Przebiegał tam i z powrotem przez Trzydziestą Pierwszą Ulicę, usiłując dopaść inne dzieci albo zagrozić im drogę ucieczki. Ilekroć miał już kogoś zbić, ten przywierał plecami do muru i wyciągał przed siebie rękę. Raz sam o mało nie został zbity, ale ścigający musieli się zatrzymać, żeby przepuścić przejeżdżającą taksówkę, dzięki czemu zdążył wrócić na swój trotuar. Zobaczył przylgającego mu się ojca i podbiegł do niego z okrzykiem:

– Daj cencika na cytrynowy sorbet!

Ścisnął w garści monetę i wprowadzając w czyn pewien sprytny manewr taktyczny, pognął Dziesiątą Aleją. Jednego jednak nie przewidział. Kiedy mijał matkę gawędzącą z sąsiadkami, *Zia Louche* capnęła go za ramię i osadziła w miejscu. Jej kościste palce wpiły mu się w ciało niczym zębom stalowych wnyków.

Potoczył półprzytomnym, zniecierpliwionym wzrokiem po twarzach kobiet; tej policzki porasta czarny meszek, tamtej wąs się sypie. Mniejsza z tym, czas nagli, zabawa gotowa się jeszcze skończyć, zanim on wróci. Szarpnął się, ale *Zia Louche* trzymała go jak pajęczycza muchę.

– Odsapnij... siądź koło matki i odsapnij. Jutro będziesz się źle czuł. Patrz, jak ci serce wali. – Przyłożyła mu spracowaną dłoń do piersi. Szarpnął się znowu. Stara przytrzymała go jednak i powiedziała srogo: – *Eh, come è faccia brutta.*

Uznał to za wyzwisko i znieruchomiał. Patrzył na krąg kobiet. Śmiały się, ale Gino nie wiedział, że śmieją się z jego zaaferowania, z jego rozbieganych oczu.

Plunął na *Zię Louche*. Było to markowane splunięcie, którym klóćące się Włoszki wyrażają swoją pogardę. Puściła go zaskoczona. Odskoczył tak szybko, że karząca dłoń matki musnęła mu

tylko policzek, odwrócił się jak fryga i popędził dalej z wiatrem w zawody. Skręci w Trzydziestą Ulicę, dobiegnie nią do Dziewiątej Alei, Dziewiątą Aleją do Trzydziestej Pierwszej Ulicy i Trzydziestą Pierwszą Ulicą z powrotem do Dziesiątej Alei; taki plan sobie wykoncypował. Okrążywszy w ten sposób cały kwartał, wypadnie z ciemności w sam środek zabawy i tym jednym mistrzowskim uderzeniem zapewni sobie zwycięstwo.

Kiedy jednak gnał co sił w nogach w kierunku Dziewiątej Alei, drogę zagroził mu kordon jakichś obcych chłopaków. Gino przyspieszył jeszcze bardziej i taranem przebił się przez blokadę. Koszula pruła się, chwyтана zachłannymi rękami, wiatr świstał mu w uszach. Ścigali go aż do skrzyżowania Dziewiątej Alei z Trzydziestą Pierwszą Ulicą. Kiedy w nią skręcił, odpuścili. Nie ważyli się zagłębić w jej mroki. Gino zwolnił, przeszedł z biegu w marsz i skradał się teraz wzdłuż ganków. Pokonywał ostatni odcinek okrążenia i na końcu ulicy, tuż przed jej skrzyżowaniem z Dziewiątą Aleją, widział już kolegów kłębiących się niczym stado małych czarnych szczurków pośród stożków mdłego żółtego blasku rozsiwanego przez uliczne latarnie. A więc zabawa trwa. Zdążył.

Zatrzymał się, żeby odsapnąć chwilę pod osłoną ciemności, po czym ruszył dalej bardzo cicho, ostrożnie stawiając stopy. Przez okno sutereny zobaczył małą dziewczynkę. Stała twarzą do ściany pomalowanej do połowy wysokości na jaskrawoniebieski kolor, wyżej na biało. Opierała czoło o przyłożone do ściany przedramię, zasłaniając oczy przed zimnym elektrycznym światłem, które zalewało pustą izbę za jej plecami. W pierwszej chwili pomyślał, że płacze. Potem dotarło do niego, że bawi się w chowanego i gdyby przystanął i zaczekał chwilę, pozornie pusta izba jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaroiłaby się na jego oczach piszczącymi dziewczynkami. Ale nie przystanął. Nie wiedział, że na zawsze

zapamięta tę dziewczynkę, samą, stojącą z zasłoniętymi oczyma przy niebieskiej ścianie; opuszczoną, zastygłą w bezruchu, tak jakby nie zatrzymując się, ściągnął na nią kłutwę i skazał na wieczne pozostanie w tej pozie. Szedł dalej.

Zatrzymał się dopiero przed rozlaną na trotuarze plamą rozproszonego światła. Wzdrygnął się. Z okna na parterze, oparta łokciami o wymoszczony pękata poduchą parapet, patrzyła na niego wiekowa irlandzka matrona. W mdłej przyżółconej poświacie jej głowa sprawiała wrażenie zmurszałej ze starości. Wąskie, okolone meszkiem zarostu wargi połyskiwały krwiscie w blasku czerwonego znicza. Za tą upiorną twarzą, ledwie widoczne w mrokach pokoju, majaczyły, niczym stare kości, wazon, zgaszona lampa i święta figurka. Struchlały Gino gapił się na kobietę. Wyszczrzyła zęby w powitalnym uśmiechu. Chłopiec puścił się biegiem.

Słyszał już okrzyki i nawoływania kolegów; zbliżał się do oświetlonej kręgami blasku Dziesiątej Alei. Przyciął się na schodkach do piwnicy, niewidoczny, sprężony w sobie, gotowy do ataku. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby bać się ciemnej piwnicy albo nocy. Zapomniał o gniewie matki. Liczyła się tylko ta chwila oraz chwila, kiedy wypadając niespodzianie z ciemności, wywoła powszechne zamieszanie.

*

Cztery piętra nad Dziesiątą Aleją trzynastoletni Vincenzo Angeluzzi, przyrodni brat Gina Corbo, rozmyślał przy wtórce docierających do niego stonowanych, przytłumionych odgłosów letniej nocy. Siedział na parapecie okna, mając za sobą długi ciąg ciemnych, pustych pokoi i zamknięte na klucz drzwi prowadzące z klatki schodowej do kuchni. Był na emigracji wewnętrznej.

Odebrano mu marzenia o lecie, wolności i beztróskiej zabawie. Matka oznajmiła mu dzisiaj, że od jutra zaczyna pracę u *Pa-nettiere* i będzie tam pracował aż do jesieni, do końca szkolnych wakacji. Podczas gdy inni chłopcy będą się kąpali w upalne dni w rzece, grali w palanta i w „Johny’ego na kucyku” i zwiedzali miasto uczepieni tramwajowych cycków, jemu przyjdzie dźwigać ciężkie kosze z pieczywem. Oj, nie posiedzi w cieniu muru fabryki Runkela z cytrynowym sorbetem albo z książką, nie posiedzi, nie pogra z chłopakami na pieniądze w bankierów i brokerów ani w siedem i pół.

Patrzył rozżalony na zachodnią rubież miasta, na odłogi bocznicę kolejowej, na stalowe tory, na pozostawione samym sobie wagony towarowe, na parowozy pogwizdujące ostrzegawczo i krzeszące kołami brudnoczerwone skry, i coraz bardziej podupadał na duchu. Na tle urwistego brzegu Jersey rysowała się czarną wstęgą rzeka Hudson.

Z drzemki, w którą nie wiedzieć kiedy zapadł na parapecie, wyrwała go narosła do stłumionego krzyku, podniecona wrzawa. Hen, w głębi Dziesiątej Alei zobaczył czerwoną latarnię przodownika, który poprzedzał pociąg towarowy z St. John’s Park. Dzieciarnia na dole dokazywała dalej w najlepsze, a Vincent czekał z ponurą satysfakcją na ten pisk zachwyty, który się zaraz rozlegnie, i upajał się goryczą świadomości, że tego zachwyty nie dane mu będzie z nimi dzielić. I nagle zakotłowało się. Dzieci podniosły wrzask i rzuciły się hurmem ku prowadzącym na kładkę schodom, żeby czekać tam, na górze, na wilgotny obłok pary, który uczyni ich niewidzialnymi.

Vincent był za młody, żeby zdawać sobie sprawę, że ma naturę melancholika i że zmartwiona tym jego siostra Octavia właśnie dlatego obdarowuje go przy każdej okazji prezentami i cukierkami.

Kiedy zaczynał raczkować, Octavia brała go do łóżka i opowiadała bajki, śpiewała piosenki, starała się jak mogła, żeby zasypiał w pogodnym nastroju. Nic jednak nie było w stanie zmienić jego natury.

Z dołu dolatywał piskliwy jazgot wyklócającej się o coś *Zii* Louche i silny głos wspierającej ją matki. Że też akurat ta stara baba musi być jego matką chrzestną, a on, za każdą złotą pięciodolarówkę, którą dostaje od niej na urodziny, musi płacić całusem – całusem, do którego przymusza się tylko dlatego, żeby nie robić przykrości matce. Matkę, chociaż była gruba i ubierała się zawsze na czarno, uważał za piękną i był jej we wszystkim posłuszny.

Zia Louche zawsze, jak daleko sięgał pamięcią, robiła wszystko, żeby ją znienawidził. Kiedyś, dawno temu, bawił się na podłodze w kuchni między nogami matki, a *Zia* Louche zerknęła na niego co i rusz. Rozmawiały z matką zżywieniem, porzuciwszy konwenanse, których przestrzegały w obecności innych sąsiadek. Rozpamiętywały niedole, jakich nie szczędził im w życiu los. Nagle zamilkły. Przez chwilę patrzyły na niego obie z zadumą, siorbiąc kawę. Potem *Zia* Louche wciągnęła z sykiem powietrze przez zbrązowiałe ze starości zęby i z bezwstydnym prostackim politowaniem powiedziała: „Och, *miserabile, miserable*. Ojciec cię odumarał, zanim przyszedłeś na świat”.

To były szczyty; starucha jak gdyby nigdy nic zmieniła temat, a on patrzył wstrząśnięty, jak matce blednie twarz i czerwienieją oczy. Opuściła rękę i pogłaskała go po głowie, ale nic nie powiedziała.

Spojrzał w dół. Octavia pochylała się właśnie nad dziecięcym wózkiem. Jej też nienawidził. Nie ujęła się za nim. Matka posyła go do pracy, a ona nic. I w tym momencie, w przejeżdżającym pod kładką przewodnika Vincent rozpoznał swojego brata Larry'ego. Wyglądał na tym czarnym koniu jak prawdziwy kowboj.

Nawet tutaj, na ostatnie piętro, dolatywał stukot kopyt o bruk. Dzieci rozplynęły się w obłoku pary z lokomotywy, kładka zniknęła. Pociąg, syjąc spod kół iskrami, skręcił na bocznice kolejową.

Było już późno. Noc przyniosła miastu ochłodę. Matka i sąsiadki wstawały, zabierały stołki i skrzynki, przywoływały mężów i dzieci. Ojczym, pchając przed sobą dziecięcy wózek, zmierzał w stronę wejścia do kamienicy. Pora szykować się na spoczynek.

Vincent zsunął się z okiennego parapetu i przeszedł przez ciąg sypialni do kuchni. Przekręcił klucz w zamku drzwi prowadzących na klatkę schodową. Rodzina zaraz tu będzie. Z bochna włoskiego chleba wielkości uda odkroił trzy solidne pajdy o chrupkiej skórce. Polał je z wierzchu czerwonym octem winnym, a potem, obficie, gęstą, żółtozieloną oliwą z oliwek. Posolił wszystkie trzy i cofnął się o krok, żeby ocenić efekt. Ślinka ciekła na sam widok tych kromek gruboziarnistego chleba powleczonych mazistą warstwą zieleń, spod której prześwitywały czerwone wyseпки. Ginowi i Salowi oczy wyjdą na wierzch, kiedy zobaczą tę przekąskę do poduszki. Zaczeka. Zje z nimi. Przez otwarte wciąż okna, amfiladą pokoiów, doleciało z ulicy przeraźliwe, przeciągłe wycie Gina.

Lucia Santa, słysząc ten wrzask, zamarła z niemowlęciem na rękach. Octavia stojąca na rogu Trzydziestej Ulicy, obróciła się na pięcie i spojrzała w kierunku Trzydziestej Pierwszej. Larry kłusujący właśnie drugą stroną Alei stanął w strzemionach, wyciągając szyję. Przerażony ojciec biegł już, miotając przekleństwa, krew pulsowała mu w skroniach. Chłopcu nic się nie stało, tym histerycznym wyciem obwieszczał światu swój triumf. Wyprysnąwszy przed chwilą z ciemności, Gino okrążał teraz w podskokach swoich zbaraniałych nieprzyjaciół i darł się wniebogłosy: „Spalić miasto, spalić miasto”. Nie potrafił przerwać wywrzaskiwania tych magicznych słów, które kończyły zabawę, nie potrafił się zatrzy-

mać. Sadząc wielkie susy, podbiegł do matki. Jej niewróżąca niczego dobrego mina przypomniała mu, jak znieważył *Zię Louche*. W ostatniej chwili wykonał zręczny unik, wpadł do kamienicy i pocwałował w górę po schodach.

Lucia Santa stała rozdarta. Z jednej strony świerbiła ją ręka, żeby zdzielić urwisa w łeb tak, by zobaczył gwiazdy, z drugiej widok rozradowanego syna, przejaw tego niepokornego ducha, którego będzie musiała kiedyś ujarzmić, napełniał ją dumą i rozczuleniem. Przepuściła go, rezygnując z wymierzenia kary.

Czynszowe kamienice wchłonęły neapolitańskich Włochów i ciemne brukowane ulice miasta rozbrzmiewały tylko stukotem kopyt galopującego konia, na którym Larry Angeluzzi wracał do stajni przy Trzydziestej Piątej Ulicy.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).